

przyczyni się kiedy do uratowania dzieciom ojca lub żonom mężów. A może też uratuje zbłąkaną duszę od zguby, która padłaby ofiarą morza, nie mając dość czasu na pokutę.

— Przypuszczam, że pan już nigdy nie będzie dowodził łodzią ratunkową, Hugh! — oświadczyła Helga.

— Zyskał przecież dzięki temu towarzystwo i przyjaźń panny Nilsen! — wykrzyknął kapitan — tego pewnie nie będzie żałował.

— Ale ja czuję się odpowiedzialną za to, że on tu jest — odpowiedziała dziewczę — i nie pierwej uspokoję się, aż wrócimy z powrotem do domu.

— Chętnie zawróciłbym okręt, aby uczynić za-
dość pani życzeniu — mówił kapitan z udaną uprzejmością — ale pozbawiłoby mnie to za szybko to-
warzystwa, w którym czuję się nad wyraz szczę-
śliwym.

Helga przygryzała wargi

— Kanaryjskie wyspy są niedaleko, jak sądzę, i nie byłoby to zbyt wielkiem zboczeniem z drogi dla pana, gdyby nas pan zechciał wysadzić na ląd przy pomocy jednej z tych doskona-
łych łodzi w którymś z portów n. p. w Santa Cruz — przerwałem ich roz-
mowę.

— Nie miałbym wtedy dość cza-
su — odpowiedział bez zająknięcia kapitan, aby pana i pannę Nilsen nakło-
nić — do pozostania dłużej na pokładzie mego statku i towarzyszenia mi dalej.

— Ale dokądże tego, kapitanie? — zapytałem, podniecając się mimowoli.

— No, aż do Przylądka.

— Do Przylądka? Sądzę przecież...

Przerwało mi rozpoczęte zdanie nadejście Abrahama, który przyszedł zameldować kapitanowi, że Nakir pra-
gnie się z nim rozmówić.

— Niech przyjdzie tutaj — roz-
kazał kapitan.

Nakir wyszedł po schodach do góry i stanął zdaleka, trzymając skromnie czapkę w rękach. Uderzyła mnie znowu jego piękna twarz i swobodna, niewymuszona postawa.

— Cóż tam nowego, Nakirze?

— Goh Syn Koh mówić, że obiad dzisiaj to samo co wczoraj.

— To znaczy grochówka i wie-
przowina?

— Nakir przyświadczył żywo, uży-
wając na wschodni sposób wyrazistych
giestów.

— Kazałem, aby wam przez dwa
dni dawano grochówkę i wieprzowinę,
nie jako karę za to, że wczorajszy
obiad wrzuciliście do morza; o nie!
Chcę wam tylko przypomnieć, że na
statku ja jestem kapitanem i mam
prawo rozkazywać.

— To być prawda — zawołał Na-
kir. — Zaden z ludzi nie mówić nic.
Ale my nie jeść wieprzowinę, bo nie
wolno. My raczej jeść brud. My nie
jeść zupa grochowa, bo gotowana na
świninie. My chętniej pić smołę.

— Przecież to nie do uwierzenia —
gorączkował się kapitan. — Raz mu-
sicie zacząć. Czyście wogóle próbo-
wali chociaż tej potrawy?

— Nie panie! To przeciw naszej religii — pod-
nosił gwałtownie głos Nakir.

— Wasza religia! Taż to czyste baśnie i gusła. Spróbujcie tylko raz do ust, a potem dostaniecie pieczeni wołowej. Początek jest najtrudniejszy, naj-
ważniejszy. Dlaczegoż ta potrawa, która jest dosyć
dobrą dla tego pana i pani, dla mnie i Visego, dla
was ma być niedobrą? Nie mój panie! nie! —
Ostry błysk oczu zaprawiony szyderstwem uderzył
w pokornego Nakira.

— Chcę raz zerwać i to dla waszego dobra
tylko, z tymi głupimi i niewłaściwymi przesadami.
Gdybyście tylko chcieli to uznać, to jestem pewny,
że za nim dopłynęlibyśmy do Przylądka, zrobiłbym
z was bardzo dobrych chrześcian.

— Czy pan kapitan dać nam dzisiaj wołowinę?

— Nie! A jeśli wasz obiad wyrzucicie jeszcze
raz do morza, dostaniecie jutro znowu wieprzowinę.

— To przeciw umowie, panie!

— Umowa mówi tylko o zwykłym jedzeniu, a to
przecież daję wam w dostatecznej ilości. Ostatecznie
przy zupie nie będę się dzisiaj upierał, ale mięsa
to chociaż po jednym kęsie musicie zjeść.

— Nigdy, panie! Ale suchary same nie możemy
jeść, my musimy mieć wołowina.

— Precz! zabieraj się czemprędzej — krzyknął
kapitan.

— Niechże pan tym ludziom nie każe głodo-
wać, kapitanie — prosiła Helga drżącym głosem. —
Niechże im pan da to jeść, na co im religia ich
pozwala.

Kapitan spojrzał na proszącą w milczeniu.

— Znam moje obowiązki i wiem, że kiedyś
z nich będę musiał złożyć rachunek. Kto ma w rę-
kach władzę, aby przeprowadzić prawo słuszne, nie
może okazać się słabym — oświadczył wreszcie. —
Ale ponieważ pani prosi, robię wyjątek. Ta pani
życzy sobie, abym mój rozkaz zmienił — zwrócił
się do Nakira — a więc dobrze; ale tylko na dzi-
siaj. Niech kucharz weźmie klucze do spiżarni od
Mr. Jonesa.

Bez słowa Nakir obrócił się i odszedł.

— Pani nie zna dostatecznie ich religii, panno
Nilsen? — zwrócił się z zapytaniem do Helgi ka-
pitan.

— Pozostawiam każdemu jego wiarę — oświad-
czyła zagadnięta dobitnie.



I udawała, że szuka czegoś na horyzoncie.

Kapitan odetchnął głęboko, jakby przygotowując
się do wypowiedzenia jakiejś wielkiej przemowy, mi-
mowoli jednak spojrzał na zegarek.

— Oho! muszę natychmiast przynieść sekstant,
zaraz dobiega południe — zawołał. — Przyniosę
i dla pani instrument, panno Nilsen, będziemy mo-
gli wspólnie porobić pomiary.

— Co teraz zrobimy? — szepnęła do mnie
Helga, gdy kapitan odszedł po przyrządy mierni-
cze. — On nas nie puści. W jaki sposób jednak
dam mu dość wyraźnie poznać, że zatrzymywanie
nas nie ma żadnego celu?

— Musimy poczekać, aż się jakiś okręt ukaże.
Od wczoraj, kiedy dostaliśmy się tutaj na pokład,
nie spotkaliśmy jeszcze żadnego, nie mógł więc ka-
pitan nic zrobić, aby nam umożliwić powrót, choćby
nawet był chciał. Cicho, znowu powraca!

Spotykamy nareszcie okręt.

Popołudniu siedziałem na pokładzie i paliłem
fajkę. Podczas obiadu, który spożyliśmy o pierwszej,
kapitan znowu wygłaszał przemowy bez końca, my
zaś oboje zachowywaliśmy się bardzo milcząco. Po
jedzeniu kapitan Bunting poszedł do siebie, my zaś

graliśmy jeszcze pół godziny z Helgą nad szachami,
poczem i ona odeszła do swej kajuty.

Udałem się na pokład. Mr. Jones chodził tam
i z powrotem, a przy sterze stał obrzydliwy żółty
majtek. Przyjrzałem się dokładnie jego szkaradnemu
wyglądowi, nawzajem przez niego pilnie obserwo-
wany.

— No, mr. Jones — zwróciłem się do sternika,
którego mały nosek, podobny do ziemniaka, śmie-
sznie wyglądał ku mnie z twarzy — doskonały wiatr
dla was, dla mnie jednak nic nie wart. Już jede-
naście dni jestem na morzu i chciałbym już powró-
cić do domu.

— Tak mówią wszyscy, którzy wypłyną na mo-
rze — odpowiedział — tylko nie sądzą tak ci, którzy
nie mają domu, a do takich ja należę.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Whiteschapel. Gdy przebywam na lądzie,
mieszkam w przytułku dla marynarzy. Cieszę się
zaś najwięcej, gdy znowu dostanę się na pokład.

— Życie marynarza jest bardzo twarde, może
twardsze, niż nawet trzeba. Napewno Nakir i jego
ludzie tak sądzą, prawda mr. Jones?

— Oho! Co dla angielskich majt-
ków wystarcza, to musi być dobre
także dla Malajczyków. Wieprzowina
u nas na statku jest lepsza zresztą,
niż wołowina.

Ale przepisy religijne tych bieda-
ków! — zauważyłem.

— E, co znaczy religia?! Gdyby
pan tak usłyszał, jak ta banda klnie
i wymyśla. Im chodzi tylko o to, aby
mieli powód do skarg. To już taki
zwyczaj u marynarzy na przednim po-
kładzie. Kolor skóry nie gra tu roli.

Zauważyłem w duchu, że tu nic
nie wskóram.

— Czy kapitan wydał panu pole-
cenie zatrzymać statek, któryby nas
mijał? — zapytałem.

Zaprzeczył.

— Byłoby to bardzo przykłą dla
nas rzeczą, gdybyśmy stracili odpo-
wiednią sposobność z tej racji, że
kapitan byłby w danej chwili na dole
lub spał.

— Tak, ale bez jego zarządzenia
nic nie mogę zrobić — odpowiedział,
uśmiechając się przytem tak, że po-
znałem, iż zrobił on już swoje w tej
materyi sprostowania.

Ponieważ wiatr zgasił mi fajkę,
poszukałem na pokładzie kącika, gdzie-
bym mógł, zasłonięty przed wiatrem,
na nowo ją zapalić i natknąłem się
na Jakuba, który coś naprawiał przy
rejach.

Zapytałem się go, jak mu się po-
wodzi?

Był cały przepełniony pochwałami;
codziennie dostaje szklanke grogu, je-
dzenie jest dobre, a i trzy funty mie-
sięcznie nie są do pogardzenia. Będzie
mógł w ten sposób choć trochę pie-
niędzy przywieźć do domu i łatwiej
przeboleje straty poniesione na „Ju-
trzenie“.

— Więc ty i Abraham zgodzili-
ście się służyć przez całą podróż? —
zapytałem.

— Tak, dzisiaj popołudniu podpisaliśmy umowy.
Elegancki dzentelmen ten kapitan! Takiego czło-
wieka rzadko spotkać; na takich okrętach traktują
ludzi zwykle jak psów.

— Cieszy mnie bardzo, jeśli się dobrze tu czu-
jecie — powiedziałem. — Szkoda, że biedny To-
masz nie jest z wami.

— Przepraszam pana! czy mógłbym z panem
kilka słów pomówić? — usłyszałem nagle cichy
szepet nad uchem.

Był to Nakir, za którego plecami jeszcze jedna
brazowa twarz się ukazała, która jednak szybko
znikła.

— Czego pan chce, Nakirze?

— Czy pan może mi powiedzieć ustawy okrę-
towe, panie?

Znowu wyjrzała ta druga twarz z za ramienia
Nakira, ukryła się jednak znowu.

— Wiem, o co wam chodzi, nie mogę wam je-
dnak dać żadnej rady — oświadczyłem. — Że my
nie zgadzamy się z postępowaniem kapitana, słysze-
liście dzisiaj od mojej towarzyszki.

(Ciąg dalszy nastąpi).